

ŻUBURA

(FRAGMENT)

Rafał Grupiński

Dzień pierwszy i następne

Zima osiadła ciężko na dachach miasteczka. Wyglądało na to, że zaspy zostaną w nim na dłużej i mróz na stałe podkurczy wszystkie psie ogony w okolicy. Śnieżny grudzień już nikogo, jak zwykł zazwyczaj, nie oszukiwał przedłużającą się jesienną slotą ani wielodniowym, nużącym deszczem, ani wiatrami dawniej sypiącymi przez kolejne dni piachem i miejskimi resztkami w oczy. W pustej, krętej uliczce niósł się odgłos skrzypiących samotnie kroków. Z głębi podwórza po drugiej stronie, z niewielkiej piekarni, na przekór mroźnym kryształom nocy, płynął zniewalający swym ukrytym ciepłem zapach pieczonych chlebów. Śnieżne czapy przypominały dzieciom o bliskich i pełnych prezentowych cudów świętach, starszym mieszkańcom zaś o realności wiecznego snu. Szczególnie wieczorami niskie domy o spadzistych, sięgających prawie chodnika dachach wyglądały, jakby w każdej chwili miały zastygnąć w ilustrację z kart wielkiej, oprawnej w skórę księgi żywotów świętych i tak już pozostać. Mieszkańcy zamknięci w legendzie pozostaliby uśpieni w ich wnętrzach, towarzysząc modlitwą każdej opowieści o torturowanych męczennikach, nieświadomych przecież patronów całych przyszłych pokoleń ich imienników. I nieważne było, że ostatnie mrozy nie bardzo pasowały do tych północnoafrykańskich czy bliskowschodnich opowieści...

Zaczął prosić drobny śnieg. Wirował w świetle nielicznych gazowych latarni, opadał na melonik i ramiona radcy Gościńskiego, który spokojnym krokiem zmierzał z ratusza do domu. – Mam nadzieję, że Klara napaliła w piecach po południu – pomyślał, nieco zziębnięty mimo ciepłego gabardynowego płaszcza z ciemnego flauszu, zdobnego srebrnym lisim kołnierzem. – Niech będzie pochwalony, panie radco! – odezwał się z naglej nocny stróż sprawdzający bramy. – Na wieki wieków! – odpowiedział i przyspieszył kroku, by nie być zmuszonym do wymiany nieistotnych uwag czy grzeczności.

Ta księga istniała naprawdę. Leżała spokojnie, nieotwierana od dawna przez nikogo, w bibliotece na dolnej półce, gdyż była zbyt duża, by mogła stać w szeregu innych, pięknie oprawnych grzbietów. Była też nadzwyczaj ciężka. Pomiedzy setkami ilustrowanych i ozdabianych przeróżnymi ornamentami stron, pod cienkimi bibułkami otwierały się światy pięknych, pełnych biblijnego dostojęstwa grawiur przedstawiających najważniejsze wydarzenia Starego i Nowego Testamentu. Oto Chrystus przemawiający z łodzi do uczniów, Lot z córkami, Mojżesz na górze Synaj, Józef objaśniający sny faraonowi... Do tej księgi nikt poza nim nie zaglądał. Na początku było parę wielokrotnie powtórzonych ramek do wpisywania narodzin, zgonów, chrztów, Pierwszej Komunii i ślubów członków rodziny, a że w naszej

rodzinie – pomyślał, marszcząc czoło – nikt jakoś ostatnio ani się nie narodził, ani na drugi świat szczęśliwie nie wybierał, księga leżała nieco zapomniana pod stołem jeszcze chyba starszych, gdyż pamiętających popowstaniowe smutne lata, dziewiętnastowiecznych gazet.

Odwrócił stronę; pod ciosami toporów, na samym środku, ginął dziwnie wygięty do tyłu święty Jowita. Wieczór nie zapowiadał się zbyt długi, nikogo na dziś nie zapraszał, nikt też sam z siebie się nie zapowiadał. W piecu huczało i strzelało mokre drewno, ciepło rozlewało się po pokoju jak wstęga. Teodor poprawił na kolanach przezornie położony koc. – Znów będę musiał wyruszyć na pogranicze – pomyślał. – Kto wie, jakie czekają mnie tam trudności. Może powinienem spisać testament? Co za smutne święto... I dlaczego zamiast czytać ewangelię, przypowieści i legendy o trzech monarchach, sięgam do tych dramatycznych żywotów? By sobie uświadomić własną samotność, zobaczyć puste rubryki?

Ksiądz infułat Reszelski w odpusty lubił mieć przy sobie wielu księży konfratrów. Zawsze skwapliwie korzystali z zaproszeń do wronieckiego proboszcza i jak zazwyczaj przybyło ich kilkunastu. Plebania składała się wówczas, jak mawiał tradycyjnie wielebny gospodarz, z pięciu ubikacji: obszernego pokoju od ulicy, który w dzień pełnił rolę biura, sąsiedniego stołowego, następnie dwu mniejszych od dziedzińca i sypialni. Dwa największe przed wszelkimi uroczystościami łączono stołem biesiadnym. Do przyrządzania potraw zapraszał proboszcz przy tej okazji kucharza z dworu hrabiego Oporowskiego, z pobliskiego majątku. Sam do toastu ledwie trącał kieliszkiem, ale x. konfratrów obdarowywał hojną gościnnością. Tym razem było bogaciej niż zwykle, gdyż ksiądz infułat postanowił wystawić wszystko, no cóż, może zrzęczniej będzie powiedzieć, prawie wszystko, co pozostało po Nowym Roku w spiżarniach.

Siedziała po przeciwnej stronie stołu i uważnie kończyła żurawinowy deser. Teodor wyjął z kieszonki zegarek z dewizką i rzucił do skromnie ubranego sąsiada:

– Czas na mnie. Rajcy już na mnie czekają, a ja jeszcze muszę się przebrać.

Nie podniósł się jednak z krzesła; nie spieszył się tak naprawdę. W pewnej chwili, po dłuższym milczeniu wszystkich biesiadników, przyłapał się na tym, że przygląda się dziewczynie z nadmierną uwagą, że może być to nawet uznane za zachowanie nazbyt natarczywe, wręcz nieeleganckie. Jej dłoń delikatnie gładziła szyję; szczupłe, długie palce wsuwały się wolno pomiędzy biały kołnierz bluzki a jego cień na skórze i zanikały w tym zmysłowo nieokreślonym miejscu z pewną zalotną regularnością. Przeniósł wzrok na drgnienia ramienia pod lekko zmarszczoną białą materią. A jednak, gdyby zamienił z nią parę słów, może byłby to ciekawy początek czegoś obiecującego, niezbyt może oczywistego, lecz nowego, może nawet przygody. – Eh, polampartowałby sobie człowiek co nieco! – westchnął, uśmiechając się w duchu, zarazem wyobrażając sobie, jak jej palce za kołnierzykiem, tam, w tym miłym, obiecującym, nieco zalotnym wycięciu bluzki, lekko obsuwają się w stronę giętkiej wypukłości zarysowującej się piersi. Jej oczy, niesplószone, zerknęły raz i drugi w jego stronę z pozoru obojętnie, jakby przypadkowo, choć brakowało im naturalnego spokoju, skupienia na jakimkolwiek innym fragmencie prowadzonej konwersacji czy innej osobie. Krążyła więc wzrokiem wyraźnie wokół tego miejsca, jakby szukała czegoś wokół jego postaci lub tuż za nim, bardziej więc niezdecydowanie niż niespokojnie. Chce mnie widzieć, widzi mnie, czy też nie? Czy tylko, ot tak, błędzi wzrokiem?

– Czas na mnie – powtórzył do siebie raz jeszcze. Spróbował, zatrzymawszy na dłuższą chwilę wzrok na niej, wywołać równie niespłoszoną jak wcześniejsze reakcję, lecz ona patrzyła tym razem na hrabiego Oporowskiego, który ze swadą opowiadał o swojej podróży do Indii. Tym, którzy spojrzeli w jego stronę, kiwnął na pożegnanie głową, wstając po cichu od stołu i żegnając się po angielsku.

* * *

Aleś ty nicpota! Przyjdź mi tu zaraz! – Smolibocka wołała z całej siły. Można było się do tego przyzwyczaić, ale tym razem jej duża, ciężka postać była uzbrojona w mokrą ścierkę. To nie wróżyło niczego dobrego. Pobiegnęła więc ile sił z ogrodu w stronę domu, z kuszką pełną wiśni w lewej ręce. – O co chodzi, proszę pani? – prawie wykrzyknęła w progu altany. – Masz mi tu zaraz sprzątnąć ten bałagan w sionce! Co to w ogóle jest?! – wskazała na kupkę liści rabarbaru. – Pani kazala narobić kompotu, to się troszkę liści jeszcze ostało na jutro – tłumaczyła się zmieszana.

Pamiętam ją sprzed może dwu lat, z dnia, w którym chłopcy z leśnicówki, rozhuśtawszy wóz drabiniasty, stojąc na jego czterech kołach, rozpędzili go z górki na podwórzu. Nie zauważyli wówczas Bożenki. Upadła przerażona, uderzona dyszlem i nawet nie zdołała krzyknąć, tylko stęknęła jakoś tak strasznie, kiedy pierwsze koło obite stalową obręczą podskoczyło i przejechało po jej brzuchu...

Ciągle była szczupłą, wręcz chudą dziewczynką o dopiero co zarysowujących się kobieco kształtach, o mocno czerwonych policzkach i gęstych, kręconych włosach upiętych w niesforny warkocz.

Kiedy kupował bilet do Poznania i płacił właśnie półtora złotego, jego uwagę zwrócił zegarek kasjera leżący na blacie biurka. Na dekielku kieszonkowego zegarka widniała wyraźnie wyciśnięta lokomotywa. Firma Roskopf nie produkowała wprawdzie nazbyt eleganckich zegarków, zawiadowcy mieli zazwyczaj lepsze marki w kieszonkach, ale ten egzemplarz najwyraźniej potrzebował wprawnej ręki zegarmistrza. Radca nigdy dotąd nie pozwalał swojemu wspólnikowi handlować z firmą Roskopf, gdyż uważał jej produkty za liche, a ponadto była to firma żydowska. Oj, chyba dopiero od niedawna na rządowej posadzie – pomyślał – szczęściarz! Niedługo zmieni markę na lepszą... jeśli go nie wyrzucą za jakiś błąd lub malwersacją... – dodał w duchu. Pociąg był, jak zwykle, punktualny.

* * *

Był mglisty poranek. Znad łąki, po drugiej stronie szutrowej drogi, sunął nieprzejrzysty tuman i powoli, rozrzedzając się, unosił ku niskiemu niebu. Oderwał czoło od zimnej szyby. Dzisiaj miał wreszcie wyruszyć z tej dziury w świat. Nie mógł sobie wyobrazić niczego innego w zamian. Wprawdzie zarządca hrabiego Oporowskiego wspominał mu, że może znajdzie dlań pracę na zrębie, zresztą nie w swoim lesie, lecz u grafa Hochberga, lecz nie chciał tu już dłużej siedzieć, łątać dziurawe kosze, naprawiać beczki i drutować garnki. Nie chciał też już mieszkać kątem u Smolibockiej, która wprawdzie zręda, ale potrafiła i kwartał czekać na należne za skromny pokój. Spojrzał przez okno na przeniknięte szarością kąty ciasnego podwórza przyległego do ogrodu nadleśnictwa. Pod belką podpierającą drzwiczki do kurnika kuciała Bożenka. Jej drobne lydki sterczały spod koszuli jak dwa kwocze gnykie. Chude to to przeraźliwie – pomyślał – ale wyrośnie z niej niebrydkie dziewczę kiedyś. Wziął niewielką walizkę i nacisnął klamkę.

Suchy stukot kołatki rozpoczął smutny Wielkopiątkowy wieczór. Ministrant rozpałał obok drewnianej dzwonnicy małe ognisko, by rozpocząć się mogła liturgia ognia. Proboszcz, wszedłszy z ogniem do głównej nawy, padł na krzyż przed ołtarzem, a za nim dwaj prezbiterzy. Cisza zapadła w kościele i trwała długo. Zdało mu się, że po prawej jego ręce, za środkowym przejściem, w sąsiednich ławach, w których prze-ważały kobiety, pochylona w modlitwie postać z głową okrytą chustą, nad dłońmi schowanymi w mufce, to była ona. Dziewczyna z narady w nadleśnictwie o ratowa-niu puszczy. Ale ledwie o tym pomyślał, sam zaczął się w głębi sumienia strofować i powrócił do próby skupienia się na modlitwie i żałośliwym śpiewie o cierpieniach Chrystusa i Jego Matki. Kiedy wychodził z kościoła, kątem oka zauważył schowa-nego w cieniu ociężałego filaru młodego człowieka, który jakby trwożnie cofnął się o krok, a którego wzrok wyraźnie skierowany był w tę samą stronę. – To chyba młody Degórski – pomyślał Teodor – ale, ale... sądząc po stroju ten młodzieniec wyraźnie wybierał się w jakąś dłuższą podróż... to zdolny chłopak, nie wiem, dlaczego uparł się bawić w bednarza...

Myślał tylko o ciemności. Myślał z przerażeniem, nie wiedząc, skąd pochodził, skąd przyszedł, jaki był jego początek. Nie, nie chodziło mu o metrykę lub świa-domość posiadania rodziny z wszystkimi jej historiami, pamiątkami i poźółkłymi fotografiami, lecz o tę drugą stronę lęku, o której to w istocie bał się nawet myśleć. O własnej indywidualnej apokalipsie, powrocie w ciemność, o własnym, nieuchron-ny m końcu. Nieliczne próby, podejmowane w chwili osamotnienia, przerażenia lub wtedy, kiedy obrażał się na świat, były jak nieudane powroty do dzieciństwa, tyle że już w chwili pierwszego zamyślenia, pierwszej presupozycji oznajmiały swoją beznadziejność, skazanie na nieprecyzyjny zlepek słów, bez szans na cokolwiek pozytywnego, skrawek nadziei czy bodaj uśmiech do samego siebie. Porażka była wpisana w te próby, tak jakby święty Tomasz wypróbowywał któregoś ze swoich uczniów w kwestiach teologicznych, z których nic nie potrafili zrozumieć. Jeśli pogodzisz się z tym, że niczego nie dowiesz się o sobie ani o tym, po co znalazłeś się na mgnienie Bożej powieki we wszechświecie, tym pewniej znikniesz w fałdach czarnej sukni Pani wszechświata.

Przechadzał się wolno po bibliotece. Żółte światło stojącej lampy padało na fragment dębowego biurka wyłożonego zielonym pluszem, dolne fragmenty półek i ciężkie fałdy okiennych kotar. Zza okna, gdzieś z oddali, chyba zza rzeki dochodziły stłumione oszczekiwanie psów. – Ozyrys jest bogiem czarnym! – przypomniał sobie fragment opowieści Maeterlincka o wtajemniczaniu młodych kapłanów w istotę ich służby w czasach starożytnego Egiptu. Może właśnie tak jest, tylko język nasz nie potrafi tego nazwać, wydobyć z codziennej szarości myśli? Bóg jest czarny, jeśli tak, to dlaczego nie pozwala nam cokolwiek pamiętać sprzed ziemskiego czasu, jeśli przyjąć, że czerń nie jest przecież kolorem? Dlaczego wymazuje nasz mózg w siódmym roku życia i zarówno słodycz, jak i porażki dzieciństwa zamazuje swym wielkim, miękkim ołówkiem? Znowu będę się tym męczył jakąś chwilę, lecz jak zwykle otrząsnę się z tej beznadziei i wrócę do codziennych spraw, a jest ich wiele. Ten powrót nie będzie o niczym innym świadczył, jak tylko o moim niepoważnym podejściu, w którym to, co jest zagadką, z góry jest lekceważone i bagatelizowane. Kimś takim czarny Bóg na pewno się nie zainteresuje – pomyślał z sarkazmem, litościwie żartując zarazem z siebie. Dobrze – dodał już głośno – w tę wietrzną noc lepiej pomodlić się, by nie stało się jakieś nieszczęście lub nie objawił znowu jakiś wisielec, bo będą mnie męczyli

pod nieobecność burmistrza. Zegar na wieży ratuszowej jakby w odpowiedzi zaczął wolno, głuchym, stłumionym przez wicher i deszcz głosem wybijać północ.

– Czy Jezus jest bogiem czarnym, jak Ozyrys? – powiedział nagle do siebie z rozpaczą radca Gościński. – To przecież niemożliwe, był zwykłym rybakiem, synem cieśli, budującego dla cesarza Seforis... Tak pocieszony, odrzuciwszy wspomnienie z nocnej lektury, udał się do łazienki, zdjął i złożył starannie swoje ubranie oraz włożył ciemnozielony szlafrok z pikowanego atlasu.

Świergot kul zamieniał powietrze w rozedrganą, rozpruhaną tkaninę, przez którą przeświecała mozaika pobliskich pól i sosnowego zagajnika. Skuleni w okopach próbowali żartować wzajemnie z własnej sytuacji, uznając, że pod nawałą wciąż narastającego rosyjskiego ostrzału, najłatwiej żartować ze śmierci. Herr Goszczinsky – usłyszał skulony w błocie żołnierz – major Hagel wzywa was. Natychmiast! – Łatwo powiedzieć – mruknął do siebie Teodor – tylko jak się tu przedostać przez te cholernie płytkie, pospiesznie wykopane transzeje pod takim ogniem?

Rozkaz to rozkaz, ruszył za adiutantem przykurczony, czasami upadając na czworaki, potykając się o klnących pod nosem żołnierzy, jęczących rannych i niesprzątnięte jeszcze zwłoki pechowców, którzy nie mieli dość szczęścia, by przeżyć ten zaporowy ogień karabinów i działek polowych. – Jak przeżyję, to będzie oznaczało, że ojciec mi z tamtego świata wybaczył – pomyślał i z pasją zacisnął ręce na wleczonym karabinie, jednocześnie, sekundę później, oskarżając siebie o uleganie słabości, niepotrzebnej panice i zabobonom ze zwykłego, podłego strachu przed śmiercią. Polemizując w myślach, zrozpaczony i przerażony zarazem sytuacją – to był trzeci już dzień takiego piekła – na moment zapomniał, gdzie się znajduje, gdzie z takim mozolem lezie przez błoto pełne krwi i odchodów. Dopiero cichy, lecz wyraźny jęk adiutanta posuwającego się przed nim uświadomił mu ponownie, gdzie jest, i oderwał od myśli o ojcu, z którym rozstał się przed laty w gniewie, nie pożegnawszy nawet, by wrócić do Wronek dopiero na wieść o jego śmierci. – Was ist passiert? – krzyknął do przodu, usiłując coś dostrzec w narastającym deszczu. Adiutant parł jednak dalej do przodu, słychać tylko było kilkakrotnie powtarzane – Verfluchte scheisse!

Popatrzył na swoją skromną kwaterę. Wąska kozetka, jedno kulawe krzesło i w narożniku, obok małego wykuszowego okienka auskus, czyli zlew z wymborkiem i nocnikiem. Obok stała mała odrapana z białej farby ryczka. W drugim rogu nieduża kista na węgiel z leżącym na jej wieku pęczkiem smolnej drzazgi i szkntłami na rozpałkę. Umył starannie twarz nad przyrdzewiałym zlewem i wytarł mocno do sucha, spojrzal w wiszące nad nim pstrokate jak od muszych odchodów lustro. – Muszę się zadekować tu na jakiś czas, to duże miasto, trudno mnie będzie znaleźć tym jolopom! Mam nadzieję, że ów zakichany radca nie będzie się fatygował poza granice swego miasteczka. Wiedział, że jego prześladowca był inteligentnym człowiekiem, doświadczonym wywiadowcą powstańczym, który bezczelnie, wręcz brawurowo penetrował drugą stronę granicy pierwszego zaboru. Nie brakowało mu odwagi, a i ze zdolnościami detektywa, których trudno się było po tak dystygowanym i zajętym swoimi interesami obywatelu spodziewać, mógł być za pan brat po pracy na pograniczu. – Muszę zdobyć jakieś papiery, nie mogę pozostać bez niczego.

Ufał, że jego dawny znajomy ze służby w gwardii cesarskiej mieszkał jeszcze tam, gdzie odwiedził go ostatnio, przed blisko rokiem. Miał też nadzieję, że nie czytał na co dzień gazet. Ciekawe, czy w ogóle umie czytać – pomyślał. Ale sprawa stała

się pewnie głośna, dlatego najlepiej będzie uciec gdzieś za granicę, tylko potrzeba do tego trochę kasy i papierów; dawne linie frontu były teraz niezwykle szczelnie chronione przez wszystkie strony niedawnego konfliktu. A tak było przyjemnie w Nadolniku! – aż prawie głośno westchnął. – Te wszystkie siksy tak łatwo było skaperować, tak lepiły się do mnie jak pszczoły do miodu... W oczach stanęła mu nagle Sławka, dziewczyna z poczty, która czasami zastępowała listonosza w drodze do nadleśnictwa, gdyż mieszkała po drugiej stronie Olszynek, dwa kroki od jego biura. Jakież miała śliczne piegi na dekolcie, rzędzące i tak zalotnie prowadzące w stronę dwu słodkich piersi, zakończonych ciemnymi, zalotnie zadartymi koniuszkami. I ta mała Bożenka, chyba mam słabość do nieopierzonych kurczątek, na to podobno też jest jakiś paragraf – zachnął się. – Czas wreszcie ruszyć w miasto! – otrząsnął się szybko ze wspomnień, z wieszaka umieszczonego na środku drzwi wyjściowych zdjął czapkę i głęboko, dla niepoznaki, nacisnął ją na oczy. Po chwili słychać było już tylko szybki tupot nóg na drewnianych, trzeszczących schodach.

Major Dietrich von Hagel stał prawie wyprostowany w obszernej ziemiance i trzymał w dłoni złoty zegarek z dewizką. Nie był to poczciwy choć precyzyjny kieszonkowy wynalazek pana A. Lange i Söhne, lecz nadzwyczaj elegancki Patek, zapewne z jakąś dedykacją grawerowaną wewnątrz. – Mógłbym się założyć, że to typ z lat 60., i jeśli nie z dedykacją, to co najmniej z datą i monogramem w środku – mruknął do siebie, niesłyszalnie dla nikogo poza nim samym, Teodor. – Będzie szansa posiedzieć chwilę w zwodniczym cieple ziemianki; ten po prusku zasadniczy oficer, lecz wyraźnie z wyższych junkierskich sfer, na pewno doskonale wie, że zmarzniętymi palcami, jeszcze przy takim braku narzędzi, niewiele zrobię... Herr Goszczinsky – rozpoczął zdecydowanym głosem major – trzeba naprawić mój zegarek. Pilnie! Za chwilę jadę w jeszcze większe piekło i bez tego diabelskiego cyferblatu, wyznaczającego mi czas życia i śmierci, mogę nie odnaleźć się w Prusach Wschodnich... Cóż znaczyłby dla żołnierzy cesarski oficer bez tej pozornej kontroli nad czasem, czyli realnej kontroli nad samym sobą? Pan, herr Goszczinsky, sich auf sich selbst besinnen! Tu better być heutzutage, nicht wahr? Czekam pasky signal, auf wiedersehen!

Przy ulicy Podgórznej dawno nie było śladu jego znajomego. Gospodarz kamienicy rzekł tylko krótko: – Oficerów dawno wyprowadzili, podobno ma się coś dziać, jeden z ordynansów mówił, że idzie jakaś kolejna wojna na wschodzie... – i zatrzasnął bramę. Ruszył więc w stronę Starego Rynku, by po chwili zawrócić i w końcu dotrzeć do okazale reklamowanego lokalu gastronomicznego o szumnej nazwie Apollo. W restauracji panował dość niezwykły, jak na wczesną porę dnia, półmrok. Mimo tego przysiadł w rogu, pod kurtyną dzielącą salę na dwie części, z których tę drugą udostępniano zapewne wieczorami na potańcówki i zabawy, z dala od długiego baru. – Jedną stołową, jałowcówkę – dodał, jakby dla wyjaśnienia, nie patrząc na cherlawego kelnera, który podszedł doń z białą, nieco wymiętą serwetką przewieszoną przez przedramię. – Z ogóreczkiem? – kelner pochylił się usłużnie, jeszcze niżej. – Może być z ogóreczkiem, tylko prawdziwym, nie warszawskim! Rozejrzał się po sali. Łowił wzrokiem, uważnie, kilkoro rozrzuconych jak zabawki po sali klientów na wczesnych obiadach, pochylonych ku sobie, załatwiających przy okazji jakieś interesy, których szczegóły trudno było wysłyszeć w ogólnym szmerze przytłumionych głosów; oceniał zamożność i prawdopodobne pochodzenie każdego z gości, wymyślał wręcz historię i zwyczaje każdego z nich. Zaczęło go to nawet bawić. Uwagę przykuwał gruby, zażywny jegomość, przed którym stało kilka półmisków

i kościański, gorzki, korzenny Iwan w ozdobnej butelczynie. Rozmawiał z jakimś sztywno siedzącym, smagłym młodzieńcem, najprawdopodobniej Hinterländerem w typowym austriackim mundurze w stopniu leutnanta. Rozmawiali po polsku, a młody oficer wyraźnie już swoją wojnę zakończył. Nie namyślał się więc długo, wiedział już, co powinien zrobić.

Za oknem śnieg wytłumiał kroki. Sęki strzelały w zamkniętym piecu, a wokół roznosił się zapach brzozonej drzazgi. Doktor Rosiński postanowił wrócić do sprawy z Nadolnika. Miał nieodpartą chęć porozmawiać o tym jeszcze raz ze swoim przyjacielem, radcą Gościńskim. Jak to możliwe – zastanawiał się – że morderca i pornograf w jednej osobie zdołał umknąć sprawiedliwości? Teodor miał rację, należało działać szybciej i bardziej zdecydowanie. A tak podejrzany umknął sprawiedliwości i my nawet nie wiemy, czy miał, na przykład, współników, czy też działał sam... To, że komendant Kuna wysłał list gończy w porozumieniu z wicekomendantem wojewódzkim Krzyżankiewiczem, to dobrze, lecz efektów nie ma. Magdziński zniknął jak kamień w wodę. I co z biednymi, naiwnymi dziewczynami, niektóre to przecież były prawie jeszcze dzieci, co z nimi będzie, co wyrosnie z takiej zbląkanej, zwiedzionej na manowce istoty, zbrukanej w nieczystościach? Może trzeba by z księdzem dziekanem o tym porozmawiać? – zastanawiał się chwilę. – Ale czy nie skończy się jedynie na głośnym potępieniu i wezwaniu do natychmiastowej spowiedzi bądź na gderliwym, suchym pouczeniu będącym wynikiem nadmiernego zakłopotania nieprawością? Dziekan Reszelski rzadko bywa pobłażliwy, a o sprawie już na pewno słyszał... wszyscy niestety słyszeli. – Idę do Teodora, w końcu chyba wciąż jeszcze jest wywiadowcą, ma spore doświadczenie – zdecydował wreszcie, usłyszawszy z przerażeniem, że mówi o tak tajnych sprawach głośno sam do siebie.

– Herr leutnant – rozpoczął szybko rozmowę, choć w pierwszej chwili ten młody człowiek nie budził jego zainteresowania – jeśli mogę przeszkodzić, widzę, że ma pan niezłe doświadczenie wojenne za sobą... – Tak. A po czym to szanowny pan poznaje? – wtrącił bez ceregieli grubas, z wypchanymi ustami jedzeniem. – To oczywiście – odpowiedział, ku zadowoleniu młodego żołnierza. – Sądzę, że służył pan, panie oficerze, także w Kamerunie, razem z cesarskimi gwardzistami... – Tak, prawie jakby pan zgadł – ożywił się jeszcze bardziej – mieliśmy w szesnastym pomóc gwardii zatrzymać Francuzów i Brytyjczyków, ale niewielkie mieliśmy szanse... – Choroby więcej was chyba wytłukły, niż ja komarów – zarechotał grubas, machając pulchną dłoń z grubym, złotym i mocno zatłuszczonym sygnetem na środkowym palcu. Rozmowa potoczyła się już swobodnie, a do stolika dostawiono trzecie krzesło. – Jest mój – pomyślał z satysfakcją – zdobycie jakiegoś rewolweru nie powinno już być problemem.

Na uroczystość Bożego Ciała zjawiał się pan dr Stanisław Rosiński, w największe święta w stałej asyście z Teodorem, z którym bardzo się przyjaźnił, oraz dwoma innymi, najbardziej szanowanymi obywatelami miasta, prowadził celebranta. Po procesji, na probostwie, w czas obiadu, przygrywała godzinki parafialna orkiestra dęta, która też brała udział w procesji, pod dyrygenturą organisty Chylińskiego. W nadzwyczaj uroczystej celebracji I Komunii św. zawsze asystował starszy nauczyciel, pan Ryster z Nowejwsi. X. proboszcz nie schodził wówczas od ołtarza, tylko ci, którzy do niej przystępowali, wchodzili na jego stopnie. Po uroczystości i zawsze sutym, niezwykle smacznym, świątecznym obiedzie u księdza dziekana celebranci spotykali się „pod srebrnym orłem”, jak nazywali mieszkanie dra Rosińskiego,

mieszczące się nad jego apteką o takiej właśnie nazwie. Tam czekały ich wyborne nalewki i stół z kartami, by mogli oddać się ulubionej grze. Tym razem jednak gospodarz zaskoczył ich niemało, musieli przyznać, że była to spora niespodzianka. Kiedy tylko wszyscy zasiedli do kart, a na środku stołu została ustawiona skarbona dla datków od wygrywających, dr Rosiński zagadnął: - I nie wiem, czy bardzo was to, moi drodzy, ucieszy, lecz od następnej niedzieli będziemy mieli dodatkowych graczy, a właściwie jedną... - tu gospodarz zawiesił głos, wyraźnie oczekując znacznego efektu. - Jak to, o kim mówisz? Kobieta? W naszym kawalerskim gronie? - zdziwił się niepomiernie radca Gościński. - Tak, siostry hrabianki Oporowskie postanowiły przyłączyć się do nas, a właściwie jedna z nich w imieniu także swej starszej siostry, Makra Oporowska. - No coś takiego! Czyżby aż tak źle było z ich dochodami, hrabia im skąpi? Czy to desperacja, czy te młode osóbki potrzebują jedynie nietypowej rozrywki? I co to w ogóle za imię dla katoliczki? - dziwił się dalej radca.

Tymczasem w pałacu w pobliskim Oporowie, przy rozłożonym karciaku o perlowym blacie siedziała właśnie Makra Oporowska i tasowała karty. - Słyszałam, że u dra Rosińskiego stawia się wysokie walory i gra jest uczciwa! - krzyknęła w głąb obszernego pokoju, który swą wielkością przypominał raczej salę balową niż dziewczęcy salonik. - Akurat! Te mieszcuchy na pewno mają swoje sztuczki, grają ze sobą już od wielu lat... A poza tym, dlaczego mieliby wpuścić kobietę do swojego grona? Toż to sami podstarzali kawalerowie i wdowcy - kontynuowała, wchodząc do salonu, dziewczyna w podobnym wieku do swej rozmówczyni, choć o nieco ciemniejszej karnacji i ze starannie ułożonymi włosami, zwieńczonymi lekkim koczkiem z wpiętymi fiołkami. - Fiu, fiu! A cóż to za koafiura? No pięknie, pięknie! - zaśmiała się Makra, zrywając się z giętego, trzciniowego fotela. - Dlaczego wnosisz z uporem godnym lepszej sprawy te zakurzone werandowe fotele do salonu? Niszczysz parkiet - fuknęła w odpowiedzi siostra, wyraźnie niezadowolona z uwag Makry. - Bo jak gram na tym trzciniaku, to zawsze wygrywam z tatą - odpowiedziała szczerze, w ogóle nie przejmując się złym humorem siostry.

Musiał go mocno podtrzymywać. Leutnant coś wykrzykiwał o czekoladowym burdelu w Buéa i miejscowości o jeszcze dziwniejszej nazwie i mocno ścisnął butelkę, z którą najwyraźniej nie zamierzał się szybko rozstać. - Idziemy, idziemy - popędzał żołnierza, rozglądając się uważnie. Szli w stronę koszar, gdzie kwaterował leutnant, wchodząc w coraz mniej oświetlone, coraz węższe zaułki miasta. - Do diabła z tobą, przyjacielu! Sich anmelden! Aufbruch! - wrzasnął nagle oficer, stukając obcasami. - Już ja ci dam zaraz aufbruch - sapnął, nieźle już zmęczony targaniem pijaka przez pół miasta. - Na sicher będziesz miał wymarsz, ale raczej na tamten świat - burknął jeszcze ciszej.

Cóż to za inicjały? - zastanawiał się Teodor, patrząc na wewnętrzne wieczko podwójnie zamykanego zegarka. - Nieźle to porysowane, poniszczone, po co on takie cacko włókł tu, do okopów? Ciekawe, kto był pierwszym właścicielem. Na pewno nie ten pruski zarozumialec... - Rozgrzewał chwilę palce nad lampką spirytusową i rozpoczął delikatny repasaż. Przypomniawszy sobie nagle swoje młodzieńcze podróże za pracą i pobyty w Nadrenii oraz Saksonii. W czasie pobytu w Dreźnie zwiedził raz na wyjeździe szkołę zegarmistrzowską w Glasshütte oraz fabrykę zegarków Dürrstein und Co. To się nazywa niemiecka solidność i dbałość o każdą dziedzinę życia i rodzaj werku - zamyślił się na dłuższą chwilę, a jego dłonie znieruchomiały nad otworzonym mechanizmem. Widniała w nim najwyraźniej polska dedykacja: „H.B. na wygnaniu - z miłością A.T. 1865”. Targnęła nim cicha fala złości. - I cóż ten

szkop może wiedzieć o pochodzeniu tego mechanizmu? W jaki sposób wpadło to cacko w jego ręce? To zapewne jakaś popowstańcza dedykacja, może ekskluzywny prezent zakochanej panny z dobrego, arystokratycznego domu, bo taki prezent to pół wieku temu dla szarego zjadacza chleba był nieosiągalnie drogi... a pamiętając, jaką biedę pędzili powstańczy żołnierze i nawet oficerowie w Paryżu czy Londynie, mógł to być gest mocno kłopotliwy dla jakiegoś pozbawionego majątku uciekiniera z polskiej Rosji... Najpierw uzdrowię mechanizm, potem może coś zaproponuję majorowi. Nie jest złym człowiekiem, choć służbista i sztywniak. A może macocha wojna zdecyduje o tym? Brrr... jak mogę tak myśleć – zgañił się szybko. – Przecież nie jestem potworem czyhającym na czyjś zgon, nawet jeśli mnie z innymi pruskimi junkrami sam na śmierć wysłał w nie mojej sprawie! Boże, wybac mi grzesznemu...

Nad rzeką zgromadził się spory tłumek gapiów. Co się stało? – Wyłowiono jakiegoś żołnierza, pewnie się upił i wpadł do rzeki... Jezu! Młody chłopak, wojna go oszczędziła, a tu taki koniec! – Patrzenie jak spuchł od tej wody! – liczne głosy towarzyszyły niskiemu mężczyźnie, najwyraźniej wojskowemu koronerowi, który właśnie nadszedł i wysłuchiwał wyjaśnień rzecznego patrolu policji. – Czy ktoś z tu obecnych rozpoznaje tego człowieka lub widział go ostatnio, na przykład wczoraj wieczorem? – jeden z policjantów pytał zebranych na wyraźną zachętę koronera. Nikt żołnierza nie znał. – Sam się nie utopił, drañ mu wcześniej buty zabrał – dorzucił ktoś smętnie.

Szli cały dzień i pół nocy. Byli głodni i potwornie zmęczeni. Tuż przed wieczorem mieli postój, na którym piekli w ogniskach ziemniaki. Nic innego nie mieli, dzielili się oszczędnie; albo jeden duży, albo dwa małe, to wszystko. Mieszkańcy, zapewne w większości Rusini, ale także liczni w tych okolicach Żydzi, chowali się na ich widok, zatraskiwali drzwi, zasłaniali okna, wycofywali się w głąb podwórek; tylko dzieci niedopilnowane przez dorosłych z ciekawością wciskały swoje twarzyczki w szczeble pochylonych często ze starości plotów. Około północy dowódcy doszli do wniosku, że więcej ze swoich żołnierzy nie wycisną i zarządzili postój w zaplanowanej zresztą wiosce, w której były, kolejne już na ich trasie, opuszczone koszary. Nie wolno już było rozpalać ognia, więc marzli, owinięci w płaszcze w pustych salach, w których hulał za dnia wiatr.

Ten uparty komendant wysłał za mną list gończy, jakby nie mieli dość zajęć na pograniczu, dureñ jeden, lepiej by się zajęli tymi pruskimi osadnikami, Volksdojcami z pogranicznych wiosek, z tego będą jeszcze spore kłopoty. Jeździł tam z jakimś tajnymi misjami przekłęty wiceburmistrz Gościński, to chyba niebezpieczny człowiek i do tego, jak mi mówili w poznańskiej dyrekcji, podobno jakiś tajniak, wywiadowca, i to szalenie konsekwentny. Swoją drogą, dość tego chowania się – muszę odezwać się jakoś ostrożnie do Kasi. Zanim się dobrze zorganizuję, trzeba będzie z czegoś żyć... muszę się też rozejrzeć w mieście, wybrać na jakiś bal charytatywny, poznać jakąś skokoszałą damę. Zapewne w Domu Kupieckim coś się szykuje, jak zwykle w zapusty, chyba widziałem gdzieś, kątem oka, ogłoszenie. Tylko w co ja się ubiorę?

– Panie komisarzu, ten młody żołnierzyk sprawi nam nie lada kłopot... – Dlaczego pan tak sądzi, doktorze? Nieboszczyk jak nieboszczyk, mało to ich w tę wojnę widzieliśmy? Jeden więcej, jeden mniej... – Może i widzieliśmy, ale nie każdy ma tak wpływową rodzinę jak on. – To już pan wie, kto zaczął? – Tak, to młody hrabicz Oporowski, prosto po powrocie z Kamerunu. Mówią mi, że pokłócił się z ojcem tak gwałtownie, że opuścił dom rodzinny, rzucił studia i wstąpił w czternastym roku, tuż przed wojną, do gwardii cesarskiej, chociaż hrabia chciał go podobno wysłać aż do

Ameryki, by chronić jedynaka przed pruskim wojskiem. – Eh, to okropnie przykre, kiedy ginie tobie jedyne dziecko i wyprzedza, w drodze na pola elizejskie, rodziców! – I owszem, ale hrabia ma też dwie córki, więc ten tu, od pewnego czasu bezsprzeczny denat, nie był jedynym dzieckiem, chyba źle się wyraziłem, lecz jedynym męskim potomkiem, panie komisarzu...

Słowo „denat” zabrzmiało w pustej salce koronera jak wystrzał. Zamilkli obaj na chwilę, czując niestosowność wypowiedzi wobec niespodziewanej rodzinnej tragedii, i to w dniach, kiedy w Wersalu kończyły się rozmowy pokojowe. – Stary hrabia dzwonił do komendanta Krzyżankiewicza, że mordercę wytrzaśnie nawet spod ziemi, że jak my go nie znajdziemy, to on na pewno go dopadnie. Okropnie zawzięty, więc szef się poważnie przejął, podobno mówił strasznie spokojnie, w przerażająco cichy, zimny sposób. – No właśnie, a co wiemy o tym chłopcu? – Zginął, krótko przed wrzuceniem do rzeki, od mocnego pchnięcia nożem w serce, tak więc sprawcą był raczej mężczyzna, i to zapewne młody lub najdalej w sile wieku. Można też, sądząc po rodzaju noża – a nie był to tam żaden szwajcarski victorinox, lecz messer jak żądło, z długim cienkim ostrzem – jak i po precyzyjnym pchnięciu między żebra, że to osobnik doświadczony w swoim rzemiośle, jeśli tak to możemy nazwać. Nie wiemy, czy morderca był sam, czy z kimś, podejrzewam też, że młody oficer miał przy sobie niezłą broń, ale znaleźliśmy go bez pasa, toteż nic nie wiemy, co mu zostało zabrane, nie mówiąc już o pytaniu o to, co mogło być przyczyną zbrodni.